



Niekonwencjonalne metody, zaufanie i szacunek do każdego wychowanka – czy w miejscu resocjalizacji jest to możliwe?

Pracuję w tym miejscu,

Robił wrażenie neonazisty – krzepka budowa ciała, wysoki, zupełnie jak z tych pomników w Trzeciej Rzeszy. Rozpoczął pobyt u nas od opowiadania, jak go wywalono z poprzedniego ośrodka, jak sobie poustawiał tam wychowawców i co „mu mogli”. W pierwszych badaniach psychologicznych wyszedł na takiego psychopata, że nasz psycholog radził, żeby go od razu usunąć. Kiedy pewnego razu miał wpadkę i stał przede mną w czarnej koszulce z ramiączkami, widziałem te grające mięśnie, ręce założone przed sobą, brodę uniesioną ku górze; patrzył półprzymkniętymi oczami i milczał. A we mnie się gotowało. Nie chciał w ogóle mówić.

Następnego dnia powiedział mi, że może ze mną najwyżej wymieniać zdawkowe kilka słów, już na pewno nie mogę liczyć na poważną rozmowę. On z wychowawcami się nie zadaje. Minął rok i wiem, że dziś on jest innym człowiekiem. Nieraz serdecznie sobie pogadamy, a i pośmiejemy się równie serdecznie. Widujemy się prawie codziennie, spędzamy wówczas ze sobą tyle czasu, ile inni ludzie spędzają ze swoją rodziną.

Pracuję w tym miejscu, bo go nie znoszę. To

moje credo. Chcę zmieniać to miejsce, bo jest nieznośne, wredne. To było moje marzenie, żeby tam się znaleźć. Teraz nazywa się to młodzieżowym ośrodkiem wychowawczym, kiedyś – zakładem wychowawczym.

To dziwne miejsce – zapach moczu na korytarzach, pootwierane kible, napisy na ścianach. Obskórne, niezadbane, brudne. Każdy, kto tu wchodzi od razu czuje, że się znalazł w miejscu raczej nieprzyjaznym. Ale pracują tu ludzie, którzy coś z siebie dają – serce, czas, wiedzę o życiu – i często chłopcy po jakimś czasie odkrywają to miejsce jako przyjazne właśnie. Każdy przyjeżdżający chłopak albo jest wystraszony i nie wie, co robić – jeżeli ma w sobie mało agresji, albo właśnie od razu jest buńczuczny, stawiający się, wyzywający, odmawiający współpracy. A czas mija. I często dochodzi do istotnych przełomów.

W naszym ośrodku jeszcze do niedawna wychowawcom nie podawano się rąk. Teraz są chłopcy, którzy biegną, żeby się przywitać z wychowawcą, oblegają nas, kiedy przychodzimy do pracy – i to jest szczere. Cieszą się naszą obecnością, chcą porozmawiać – ten ma spr-



bo go nie znoszę

wę, tamten ma sprawę; usiąść i po prostu zagrać razem w tysiąca; załapać się na herbatę wychowawcy (bo lepsza!), albo: „A mogę wziąć kawę? a cukier?” – „Proszę bardzo!” Tak jak w domu, gdzie często to życie rodzinne toczy się w pobliżu kuchni.

Mój ośrodek wychowawczy to placówka resocjalizacyjna dla 60 chłopców – do 18 roku życia. W tym przypadku to i gimnazjum, i szkoła zasadnicza. Dzieci kierowane są do nas głównie przez sądy lub bezpośrednio z pogotowia opiekuńczego. Pogotowie decyduje, czy dziecko wraca do domu, czy powinno iść do domu dziecka, czy do ośrodka wychowawczego. Za co do nas trafiają? Sprawy są różne: od tzw. nierealizowania obowiązku szkolnego, do bardzo poważnych – jak włamania, kradzieże, rozboje czy nawet podejrzenie o zabójstwo. Jest to ośrodek półotwarty. Są krótki przepustki do sklepu, na dłużej do miasta w sobotę, w niedzielę. Mamy dużą rotację chłopaków, bo co jakiś czas ktoś znika, po prostu ucieka. Przywożą wówczas nowego.

Pracuję tu 18. rok i nie używam wulgarnego języka, chyba, że jest to ważny moment – a wów-

czas robię to bardzo świadomie – i wtedy to jest jak trzęsienie ziemi. Nie używam także ich niby-więziennego sposobu mówienia, czemu wielu wychowawców ulega. Najważniejszy jest dobry kontakt, zaufanie, szacunek, oddziaływanie samym sobą. Oczywiście, niektórzy najzwyczajniej to wykorzystują a moją postawę traktują jedynie jako naiwność. Ale ja jestem konsekwentny w tej postawie, bo to ona przynosi pożądane rezultaty. Sprawdziłem to.

Ale też nie trzymam się sztywno reguł. Wiem, że odchodzenie od regulaminów daje często fantastyczne wyniki i dzięki Bogu nie jestem osamotniony w tym poglądzie. Czasem na nocnym dyżurze pozwalam chłopcom obejrzeć film w telewizji albo posiedzieć ze mną i pogadać do pierwszej w nocy. Traktuję ich poważnie i z zaufaniem.

W różnych nagłych, trudnych sytuacjach zastanawiam się w pierwszym momencie, jak postąpiłby zwykły nauczyciel – i tak właśnie nie robię. Niekonwencjonalne zachowania najczęściej przynoszą oczekiwany skutek. Pamiętam bójkę dwóch największych ośrodkowych bandziorów. To było dość dawno, dopiero zacząłem pra-



Egzamin końcowy z umiejętności zawodowych.

cę. Poszedłem ich rozdzielić, tłukli się w łazience, krew na kafelkach, kępa wyrwanych włosów, byli wyżsi ode mnie o głowę, potężni. Wlażłem między nich (obok oczywiście gromada widzów, którzy czekali na efekty) i balansując, by nie trafić na pięść czy łokieć, powiedziałem do jednego z nich, Roberta: „Słuchaj, pożyczyleś karty od moich chłopaków, przynieś, bo chcemy zagrać!” Przerwał bitwę i poszedł po karty. Tak po prostu – chyba właśnie dlatego, że to było niekonwencjonalne, nie spodziewał się tego. Gdy tamten poszedł, mówię do drugiego, że trzeba coś zimnego na oko położyć, bo będzie granatowe. I się skończyło.

Jeden z chłopaków przyszedł do nas z papierami, w których było, że psychika mocno nadwężona, że musi brać psychotropy, słyszeliśmy opowieści o tym, co wyczyniał (nawet będąc w psychiatryku); ja go poobserwowałem ze dwa miesiące i poszedłem do pielęgniarki i mówię: zrobmy eksperyment i odstawmy leki. Odstawiliśmy i chłopak już nie musiał brać. Cały jego pobyt w psychiatryku był spowodowany tym, że jego młodzieńczy bunt był przyjęty za jakieś odchyłki od normy. Chłopak po odstawieniu leków pokazał, że jest osobą o wyrazistym charakterze, był nonkonformistą, potrafił mieć własne zdanie i to czasem w sytuacjach trudnych – czym się narażał kolegom i wychowawcom. Chłopakom na przykład wytykał, że bawią się w jakąś śmieszna grypsere, że to jest głupie i logicznie im wyjaśniał – „Wy sami sobie utrudniacie życie, sami się katujecie”. Są takie ich dziwne reguły, zasady. Faktycznie służą stworzeniu ram, z których lepiej się nie wychylać. Na przykład: „Nie wolno jeść, kiedy drzwi od jadalni są otwarte” – więc w sytuacji, kiedy stałe ktoś wchodzi i wychodzi, to kupa chłopaków

czeka z podniesioną łyżką. Już by dawno zjedli, ale nie – bo sobie stworzyli głupią zasadę. To był człowiek, który miał własne zdanie i części wychowawców się nie spodobał – nauczyciele zwykle nie lubią, gdy uczeń ma własne zdanie. Poza tym był pyskаты. Miał bardzo zagmatwaną sytuację rodzinną – ojciec zmarł, matka opuściła swoje dzieci i gdzieś poszła w świat, jedna siostra w domu dziecka, druga w zakładzie wychowawczym.

Pewnego dnia przyjechali do nas jacyś ludzie i mówią, że robią szkołę pod żaglami – żaglowiec „Chopin” płynie na Karaiby i wraca. Pytają: „Macie kogoś z paszportem?” „Mamy!” To właśnie ten chłopak. Uważaliśmy, że zasługiwał. I pojechał. Miał potem przechłapanie – wszyscy mu zazdrościli, włącznie z dorosłymi - nie zdał końcowych egzaminów i to nie z powodu braków w wiedzy. Robert wrócił do swojego miasta, zatrudnił się w introligatorni (marzył o takiej pracy, mówił, że kocha książki), do tej pory pracuje w jakiejś drukarni. Opowiadał, że założył



Wigilia w ośrodku z członkami Rotary Club.

konto w banku i miał kartę i za dużo wydawał, musiał spłacać. Potem kupił telefon komórkowy, za dużo gadał i musiał spłacać, i spłacił. To przykład człowieka, który się uczy życia. On wie, że własna głupota może go pogrążyć i że własnymi rękami trzeba wszystko naprawiać. Wielokrotnie widziałem, jak któryś z chłopaków zaczynał coś robić inaczej, lepiej ze względu na mnie. Myślę, że bardzo dużo rzeczy robimy ze względu na kogoś. Dziecko nie będzie się uczyć dla siebie, tylko dla rodziców. Tłumaczenie dziecku: „Słuchaj, robisz to tylko dla siebie” trafia najczęściej w pustkę.

Gdy Robert (o którym opowiadałem – bójka w lazience) wyjeżdżał na przepustkę do swojej miejscowości, musieliśmy informować tamtejszą policję. Był strasznym bandziorem. Po zakończeniu u nas edukacji, którejś nocy niespodziewanie zjawił się zakrwawiony, pijany i konieczne chciał wejść do środka. Po czym, jak ja mu przez okno powiedziałem, że nic z tego, straszne bluzgi poleciały w moja stronę, a jego dawni koledzy z grupy biegali tylko od okna do okna. Obserwowali go ze strachem, że go wpuszczę – strasznie się go bali. W pewnym momencie zniknął. Następnego dnia okazało się, że Robert trafił do kotłowni, tam przespał



Biwaki są elementem integracji.

nym ze sprzedawców: herbata, ciasteczka. W pewnym momencie okazało się, że są tam jakieś nadużycia finansowe. Zabrałem go więc stamtąd, a on przyszedł do mnie z wielkim bólem: „Pan nam opowiadał, że w internacie kiedyś pan prowadził taką świetlicę, pan to nazwał, że to było takie pana królestwo. I pan mi teraz odbiera moje królestwo...”. Wiem, że było to trochę manipulowanie, ale nie chciałem ryzykować i całkowicie mu to królestwo odbierać. Przywróciłem go do pracy w klubie. Później gdy skończył 18 lat był naszym wychowankiem „warunkowym” – dopóki się uczy i nie narusza

W różnych nagłych, trudnych sytuacjach zastanawiam się w pierwszym momencie, jak postąpiłby zwykły nauczyciel – i tak właśnie nie robię.

się, ale coś ruszył i spalił silnik pompy. Później długo wstydził się przyjść w odwiedzin, choć przedtem często się pokazywał. Pewnego dnia robię coś w magazynku, nagle wchodzi chłopak i mówi: „Panie Krzysku, Robert do pana”. Nie skojarzyłem najpierw, jaki Robert. Ale wychodzę i patrzę, a to ten właśnie, a gdzieś z boku czai się jego dziewczucha. I ten na korytarzu przy chłopakach mówi: „Panie Krzysku, strasznie pana przepraszam za tamtą noc – byłem tak pijany, że nie kojarzyłem, że to był pan”. Z tymi chłopakami często znacznie lepiej mi się dogadać niż z wieloma dorosłymi, mam do nich większe zaufanie niż to tzw. normalnych ludzi. Ale gdy wychodzą, spotykają się ze światem, który im nie ufa. Spotykają się ze światem dorosłych - pełnym hipokryzji. Cała resocjalizacja się wali. Co z tego, że ja im powiem, że nie wolno kraść, kiedy inni ich będą okradali, kiedy słyszą o złodziejstwach na lewo i na prawo – to do czego ja mam ich przekonywać? Ale zdarza się, że im się udaje. Przyszedł kiedyś do nas chłopak – trochę lekkoduch, żartowniś. W naszym ośrodkowym klubie zrobiłem go jed-

regulaminu, może być w ośrodku. W końcu jednak zarzucono mu różne rzeczy i wywalono na zbity pysk. Chłopak poszedł w narkotyki, mieszkał pod mostem, matka się go wyrzekła, potem cała rodzina się wyrzekła; poszedł do czegoś w rodzaju monaru, wyrzucano go, potem przyjmowano – i tak kilka razy. Zaczął stamtąd do mnie pisywać, ja mu odpisywałem. Ponoć byłem jedynym, który utrzymywał z nim kontakt. Gdy umarła mu matka, bardzo to przeżył – mimo, że wcześniej ona go odrzuciła. Aż wreszcie przyszedł list, że trafił do jakichś zakonnicy, które dały mu pracę w domu starców, że znalazły mu kąt u kogoś. Później nagle sms z jego własnej komórki, kupionej za własne zarobione pieniądze; później kolejny sms: „Idę właśnie do domu handlowego kupić telewizor, za moje. Pracuję!” Co jakiś czas mam od niego sygnał – jest dobrze, wszystko w porządku.

Pracuję w tym miejscu, bo go nie znoszę. I takie właśnie sygnały pozwalają mi mieć nadzieję, że ta praca ma sens.

Krzysztof J. Kwiatkowski z Łodzi
notował Krzysztof Krzywonia